

# ***Coś dobrego na końcu tęczy. Losy Leona Jedwaba z Zagórowa***

## SCENARIUSZ FILMU

Michalina Gośka, Marta Żelek, Sławomira Wilczyńska, Kinga Witman

Nazywam się Leon Jedwab i mam 91 lat. Moje życie tak szybko przeminęło, że nawet nie wiem, jak to się stało... Wciąż pamiętam moje dzieciństwo i rodzinny dom w małej miejscowości Zagórow. Mieszkaliśmy w piętrowym domu na Dużym Rynku. Mój ojciec nazywał się Ide Chaim Jedwab, a matka Szajna Rajzel Burgerman. Było nas czterech braci, Abe, Max, Moishe i ja, oraz jedna siostra Riva. Mieliśmy sklep tekstylno-galanteryjny, z którego się utrzymywaliśmy. Tata z mamą zazwyczaj pracowali w sklepie, ale sobota była dniem wolnym od pracy, gdyż obchodziliśmy szabas. Szabas to dzień święty dla Żydów upamiętniający odpoczynek Pana Boga po stworzeniu świata. Wieczorem zapala się świece, je się uroczystą kolację i modli. Nie wolno wtedy pracować. W soboty spotykaliśmy się z przyjaciółmi i chodziliśmy do synagogi. Niestety synagogę spalili Niemcy w czasie II wojny światowej.

Miałem szczęśliwe dzieciństwo i kochającą rodzinę. Grałem w piłkę. Ale wtedy nie zawsze mieliśmy piłkę, niekiedy kopaliśmy w świński pęcherz.

W Zagórowie życie upływało w spokoju. Jedynie w środę zapętniały się rynki mieszkańcami okolicznych wiosek i zaczynało się handlowanie.

Chodziłem do ortodoksyjnej szkoły żydowskiej, chederu. Rano w szkole powszechnej mieliśmy normalne zajęcia lekcyjne, a po południu rozpoczynaliśmy lekcje w chederze. Wiedzę czerpaliśmy głównie ze Starego Testamentu. Języka polskiego uczyła mnie pani Marciniakowa. Była fantastyczną nauczycielką. Uczyliśmy się „Roty” i „Pana Tadeusza”. Na

ścianach wisiały portrety prezydenta Mościckiego i wodza narodu polskiego Józefa Piłsudskiego.

Gdy byłem straszny, uczęszczałem do jesziwy, wyższej szkoły talmudycznej. Do dzisiaj doskonale znam hebrajski, a nauczyłem się go właśnie w Zagórowie.

Wspólnota w Zagórowie była dość przyjazna, jednak byliśmy jako młodzi Żydzi odseparowani od chrześcijańskich chłopców. Zresztą oni również starali się odseparować od nas. Chrześcijanie mieli swoją łaźnię i my mieliśmy łaźnię, ale rytualną. Nazywała się mykwa. Zresztą dzisiaj też tak się nazywa. Obok mykwy znajdowała się rzeźnia. Zabijano w niej kurczaki i inne zwierzęta. Mieliśmy też cmentarz, który został zniszczony przez nazistów. Zostały tylko dwa nagrobki. Tych dwóch grobów hitlerowcy nie mogli ruszyć. Okazały się za ciężkie. Płyty nagrobne Niemcy wykorzystywali do budowy chodników i tym podobnych. Na cmentarzu leżą członkowie mojej rodziny... Spoczywają prochy wielu ludzi. Ale czy ktoś o tym pamięta?

Wiedliśmy szczęśliwie życie do 1936 roku. Później pojawiały się rozruchy antysemickie. Narodowcy zaczęli szaleć w mieście. Wybijali szyby w oknach żydowskich sklepów. Próbowali też wyważyć drzwi. Wszyscy byliśmy wtedy razem w sklepie. Nie wiedzieliśmy, co się zaraz może wydarzyć. Na szczęście przybyła policja z Konina i uciszyła zamieszki. Po tych wydarzeniach w mieście była bardzo nieprzyjemna atmosfera. W końcu ucichło, ale my, nasza rodzina, mieliśmy już dokumenty przygotowane na wyjazd do Australii. Mieszkali tam nasi krewni. Mój tata nie chciał jechać od razu całą rodziną. Nasza wiedza o Australii była wtenczas niewielka. Ludzie mówili, że kangury biegają tam po ulicach. Mój ojciec wraz ze starszymi braćmi wyjechał do Australii pod koniec 1938 roku i przybył do niej w styczniu 1939. Chciał zobaczyć, czy może się tam osiedlić, jakoś urządzić i sprowadzić resztę rodziny. Ja w tym czasie chodziłem na lekcje krawiectwa do pana Zeligmana. Oczywiście tata wkrótce chciał wrócić do Polski po resztę rodziny, jednak jeden mężczyzna nie wydał mu dokumentów. Twierdził, że jest to zbyt niebezpieczne. Miał rację i dobrze, że tak zrobił.

Wkrótce wybuchła wojna. Niemcy wkroczyli do naszego miasta we wrześniu 1939 roku, w wigilię Rosz Haszana, czyli w żydowski Nowy Rok. Był to dokładnie 23 dzień września. Przyjechali motocyklami i samochodami i udali się do miejscowego Niemca Juliusza Diesterhefta. W niemieckim kościele ponoć ukryto wcześniej amunicję.

Ludność zamieszkująca Zagórow byłą przerażona. Dzień po wkroczeniu Niemców zwołano nas wszystkich na rynek, który był cały w kocich łbach, a między nimi rosły trawa i chwast. Hitlerowcy kazali wziąć nam ze sobą nóż i łyżeczkę po to, żeby odchwaścić cały plac. Od tego dnia było coraz gorzej. Niemcy zmuszali wszystkich, nawet starszych i chorych ludzi, aby pracowali fizycznie. Nie szanowali naszej religii. Pamiętam nawet, jak deptali Torę, aż w końcu weszła ustawa obwieszczająca, że musieliśmy nosić żółtą gwiazdę z napisem „Jude”,

a każdy żydowski dom i sklep musiał być oznaczony tym napisem. Doszło nawet do tego, że pewnego dnia Niemcy przyjechali ciężarówkami i zabrali całe zaopatrzenie z naszego sklepu.

Byłem bardzo wściekły, jednak zbyt bałem się o siebie i swoją rodzinę, aby zareagować.

Pewnego dnia przybył do nas szef żandarmerii z Niemkami. Powiedział, że mamy godzinę na opuszczenie domu. Nie pozwolono nam zabrać nic cennego. Zostaliśmy przeniesieni do małego, dwupokojowego mieszkania. Nie było zbyt luksusowe, ale nie narzekaliśmy. Wkrótce utworzono komitet żydowski, Judenrat, który wyznaczał osoby do wykonywania prac na rzecz Niemców. Prace, które nam zadawali, były ciężkie i bezsensowne. Często bili nas i upokarzali. Pamiętam, że kiedy wracałem do domu, byłem wykończony i marzyłem o śnie.

W październiku 1940 roku nadszedł dzień, w którym oznajmiono, że wszyscy mężczyźni i młodzi chłopcy zostają wysłani do prac przymusowych do Inowrocławia. Nigdy nie zapomnę pożegnania z rodziną, kiedy wyjeżdżałem. Mojego młodszego brata Moishe zabrano do wsi nieopodal, żeby go ukryć. Mówiliśmy mu, że to tylko na jeden dzień. Mama i siostra zostały w Zagórowie.

W Inowrocławiu zaczęliśmy budować linie kolejową. Znajdował się tam obóz pracy. Warunki bytowe były straszne. Dostawaliśmy marne jedzenie. Spaliśmy na pryzkach.

Nie mieliśmy opieki medycznej. Dzięki paczkom przysyłanym z domu, wymieniałem się produktami z miejscowym sklepikarzem, jednak pewnego dnia przytąpali mnie członkowie Hitlerjugend. Chcieli zaprowadzić mnie na posterunek gestapo, ale uciekłem do pewnego budynku, w którym pozbyłem się obciążających dowodów. Kiedy chciałem wyjść z kamienicy, napotkałem dwóch Hitlerjugend i - nie wiedząc, co robić - przewróciłem ich. Przeskoczyłem ścianę. Ku mojemu zaskoczeniu znalazłem się pechowo przy posterunku, ale zachowałem zimną krew i spokojnie przyłączyłem się do grupy przebywających tam robotników. Bezpiecznie powróciłem do obozu. Miałem ogromne szczęście.

Podczas pobytu w Inowrocławiu dowiedziałem się o masowej eksterminacji zagórowskich Żydów. To był październik 1941 roku. Moja matka, brat Moishe i siostra Riva zostali wepchnięci wraz z innymi Żydami do ciężarówek i wywiezieni do lasów kazimierskich niedaleko Kleczewa. Po drodze niektórzy zostali zagazowani w szczelnie zamkniętych samochodach. Niemcy w bestialski sposób zamordowali zagórowskich Żydów. Upchali ich w dołach z niegaszonym wapnem. Polewali wodą i eksterminowali. Ciała kobiet, dzieci i starszych osób gotowały się w lasującym wapnie... Potworny krzyk niósł się echem... Wśród zamordowanych było ponad 40 członków mojej rodziny... Nie mogę o tym mówić...

W 1942 roku trafiłem do Andrzejewa nieopodal Łodzi. Znowu pracowałem przy torach kolejowych. Warunki w tym obozie były gorsze niż w poprzednim, ale nadal był to obóz pracy, a nie koncentracyjny.

W październiku 1943 roku spełniły się moje najgorsze obawy. Wywieziono nas wagonami bydlęcymi do Auschwitz- Birkenau. Wagony zatrzymały się w Birkenau, to jest w Brzezince, obozie zagłady. Wagony były brudne. Nie dostawaliśmy oczywiście żadnych posiłków. Panował w nich taki ścisk, że obcy mężczyzna umierał na moim ramieniu. Kiedy drzwi wagonu zostały otwarte, ujrzeliśmy okrutnego dr. Mengele, który dzielił ludzi na grupy. Chaim Szreier - mój przyszły szwagier - poszedł na jedną stronę, a ja na drugą. Wiedziałem, że nie jest dobrze. Jednak ostatecznie udało mi się prześlizgnąć za plecami Mengele na drugą stronę i dołączyć do niego. Dzięki temu zostałem przy życiu. Grupa ludzi, jeszcze niedawno z mojej kolumny, wysłana została do pieca.

Potem wołali nas w kolejności alfabetycznej, żeby wytatuować nam numery. Przestaliśmy być ludźmi. Staliśmy się *heftlingami*, więźniami obozu, nic nieznaczącą siłą roboczą, którą traktuje się jak podludzi.

Następnie znów podzielono nas na grupy. Dzięki temu, że Chaim podał fałszywe nazwisko- Jeochankiewicz, zaczynające się na „J” tak jak Jedwab - mogliśmy pracować razem w barakach kwarantanny. Niemcy kazali przenosić nam kamienie z jednego miejsca na drugie po to, aby złamać naszego ducha.

Warunki były straszne, jedynym posiłkiem, jaki dostawaliśmy, była rzadka zupa. Spaliśmy na piętowych łózkach wyścielonych słomą. Otrzymaliśmy jeden komplet odzieży i drewniane chodaki. Do dzisiejszego dnia nie narzekam, że jakieś buty są niewygodne.

Po ciężkim życiu... Hm..., nie można nazwać tego tak naprawdę życiem... Po marnej egzystencji w Birkenau trafiłem do kopalni w Jaworznie. Pracowałem tam po dziesięć godzin dziennie, jednak nie byłem pilnowany ani bity przez kapo. Pracowałem tam z polskimi ekspertami zajmującymi się górnictwem. Oni wiercili, my wydobywaliśmy. Pamiętam, że pewnego razu jeden Polak przemycił dla mnie trochę zupy. Był to zwykły krupnik, ale wtedy smakował jak najwyborniejszy specjał żydowskiej kuchni. Jestem mu za to wdzięczny do dnia dzisiejszego.

Dzięki umiejętności robieniamiotów z brzozy, udało mi się zostać sprzątaczem. Kiedy sprzątałem w barakach niemieckich, znajdowałem resztki spleśniałego chleba. Cóż to była za uczta!

W styczniu 1945 roku front rosyjski zaczął przesuwac się w naszą stronę. Szliśmy do Niemiec w tzw. „marszu śmierci”. Z powodu wycieńczenia i braku racji żywnościowych, wielu spośród nas umarło. W czasie wędrówki dostawaliśmy jedzenie od miejscowych gospodarzy. W miejscowości Blechhammer zostaliśmy wyzwoleni przez Rosjan. Mnie i Chaimowi udało się dostać do magazynów żywnościowych. Poczuliśmy się jak w raju, ale szczęście nie trwało długo. Z powrotem wpadliśmy w ręce Niemców.

Pierwszy postój był w obozie Gross Rossen. Tam wsadzono nas do ciężarówek. Miałem obawy, czy te ciężarówki przypadkowo nie zawiozą nas na pewną śmierć. Ostatecznie

dojechaliśmy do Weimaru, skąd dalej dowieziono nas wagonami do obozu w Buchenwaldzie. Warunki były znacznie gorsze niż w Auschwitz. Codziennie ktoś umierał. Zwłoki były palone. Przeprowadzano tam nawet eksperymenty na ludziach, tj. wyjmowano serca. Podczas apelu wybrano mnie i zostałem wywieziony do łaźni. Udało mi się jednak uciec przez maleńkie okienko. Ale z własnej woli powróciłem do obozu, bo przyrzekłem sobie i Chamowi, że będę z nim. Dziesięć dni przed oswobodzeniem uniknąłem śmierci po raz kolejny.

Pewnej nocy przyszedł esesman i kazał mi wsiąść do ciężarówki. Nasze baraki były na górze. Ledwo trzymałem się z wycieńczenia na nogach. Kopnął mnie i spadłem po schodach na martwe ciała znajdujące się przy baraku. Udawałem trupa. Kiedy Niemiec odszedł, ponownie wróciłem do baraku.

W końcu nadszedł 11 kwietnia 1945 roku, kiedy to Amerykanie nas wyzwolili. Radość była nie do opisanego. Czuję się, jak najszczęśliwszy człowiek na świecie. Szczęście nie trwało długo. 30 kwietnia zmarł Chaim i został pochowany w masowym grobie w Buchenwaldzie. Pamiętam, że w obozie odbyło się nabożeństwo szabatowe. Zachowało się zdjęcie, na którym mnie widać.

Po śmierci Chaima chorowałem i tułałem się po obozach wysiedleńczych. Kiedy przyjechaliśmy do obozów, zapisywano nazwiska ocalałych więźniów. Ciocia, która była wtedy w Izraelu, znalazła moje nazwisko na liście i przekazała tę informację mojemu ojcu i braciom. Pojechałem do Lansbergam Lech w Bawarii i zacząłem szukać kontaktu z ojcem w Australii. Następnie znalazłem się w Bergen-Belsen, a później pojechałem do Szwecji. Dalsza wędrówka przebiegała przez Paryż i Marsylię, z której dużym statkiem zmierzałem przez Gwatemalę, Gwadelupę i Christobel do Sydney do Australii.

W Sydney czekała na mnie rodzina z ojcem na czele. Okazało się, że jako jedyny z rodziny Jedwabów przeżyłem Holokaust.

Gdy przyjechałem do Australii, stwierdziłem, że było coś dobrego na końcu tej tęczy – to, że mam ojca, braci i rodzinę, że mam kogoś, kto został i kogoś, do kogo mogę przyjechać. W sumie paradoksalnie jestem szczęściarzem.

Trochę musiało upłynąć czasu, żebym stał się normalną istotą. Rozpocząłem pracę w rodzinnej fabryce odzieży, później ożeniłem się i założyłem rodzinę. Staram się patrzeć na jaśniejszą stronę życia i nie kopać za bardzo w przeszłość, chociaż nigdy, przenigdy jej nie zapomnę. I nie płakać za dużo nad przeszłością, ale próbować budować nowe życie. Widocznie musiało tak się stać, że zginęły miliony ludzi. Może bez tej ofiary nie powstałoby państwo Izrael?

Tęcza jest przymierzem pomiędzy Bogiem i ludźmi. A gdzie jest Bóg, tam musi być coś dobrego na końcu tęczy.